Nr. 23. Poznań, dnia 3. Czerwca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nie miał nic pilniejszego Ostójski po obiedzie nad zaniesie téj nowiny do dworku księdza Kanonika, który ani o ożenieniu, ani o rodzaju tego ożenienia i stosunkach jakie z sobą przynosiło nie wiedział wcale. Panna Klara nie towarzyszyła im w téj wyprawie, była bowiem do szpiku kości szlachcianką polską i uczuła się, wedle dawnych pojęć, dotknięta tak w swém dostojeństwie iż dostała bólu głowy i musiała się uciec do zwykłéj żółtéj chusteczki, z którą się na świat nie pokazywała.

Zaledwie usiedli około starego okrągłego stolika, który nosił jeszcze na sobie ślady studenckiego scyzoryka pana Juliana, Ostójski się odezwał nie mogąc dłużéj wytrzymać.

„Księże Kanoniku! nowina wielka, hr. Edmund jutro się żeni z panną Sauer synowicą bogatego barona Sauera... wiecie! Był u mnie dziś rano Helig i oznajmiając o tém oświadczył razem, iż hrabina przyszła jest jego rodzoną — sio-strze-ni-cą.

Matka Juliana ledwie nie tak zakrzyknęła jak panna Klara — Jezus! Marya...

„Ale, stójcie państwo!" dodał Cześnikiewicz, „katoliczką jest od trzech dni, była wychowaną tak mądrze iż do téj pory żadnéj wiary nie miała, jak czystą białą kartę zachowano ją, by na niéj przyszły mąż wyznanie swoje zapisał."

Ks. Kanonikowi wydało się to żartem, wyda się to może powieściopisarskim konceptem niejednemu z czytelników, ale — niestety — historyczny to fakt, XIX wieku indyferentyzm malujący najlepiéj. Co więcéj, nie jest on może jedynym, a w rodzinach praktycznych powtórzy się pewnie i przejdzie we zwyczaj.

Gdy Ostójski zaręczył że nie zmyślił a Zosia potwierdziła uroczyście i opowiedziała co słyszała sama od Abrahama, Kanonik odezwał się smutnie.

„Idziemy więc szybkiemi kroki do tego stanu obojętności religijnéj, która poprzedziła u pogan upadek ich społeczeństwa. Religia staje się formą, imieniem, rzeczą podrzędną... Bierze się ją dla wygody i rzuca gdy zawadza jak tłumoczek podróżnemu... I to czyni ludzkość nie z błędną wiarą instynktami stworzoną, ale z objawioną, co przyniosła światu — prawdę, co stworzyła społeczność nową, stosunki nowe, co wyzwoliła człowieka — co go połączyła z Bogiem...

„A! nie!" zawołał podnosząc ręce do góry, „nie jest to dzięki Bogu, religii Chrystusowéj zgon, bo ona nigdy skończyć się nie może, ale znak odrodzenia jéj... Powstaną

apostołowie nowi... przyjdą mężowie świątobliwi i dziać się będą cuda, a wiara Boża którą ludzie zepsuli, z nowym blaskiem zaświeci nad ich upokorzonemi głowami w niebiosach...

„Nim przyjdzie wszakże ta godzina, sprawiedliwym kielich goryczy należy wypić aż do dna..."

Zamilkł.

Abraham Helig, który tajemnicy nie czynił ze swego chlubnego pokrewieństwa przed Ostójskim, nie znajdował potrzebném taić tego i przed drugiemi. Zresztą inni jego współwyznawcy byliby ją również roznieśli, bo stosunek ten doskonale znali. Rozeszła się więc w dni kilka wiadomość po całém sąsiedztwie, a jakie uczyniła wrażenie, zdawać sprawy nie potrzebujemy.

Rok upłynął od opisanych przez nas wypadków w pałacu i na folwarku. W ciągu jego pan Julian który zdał cum maxima laude examina i otrzymał stopień doktora, oznajmił o tém wprawdzie czułemi listami matce i wujowi, ale się wytłumaczył przed niemi, iż przybyć do nich nie mógł... W przypisku było pozdrowienie dla całego domu Ostójskich... Zosia się zarumieniła mocno, czytając list ten, westchnęła i wybiegła prędko. Ojciec za nią powiódł oczyma i sposępniał.

Julian donosił w nim, że jeszcze nie jest pewien gdzie się i jak obróci, lecz że ma widoki na jakąś katedrę w jednym z uniwersytetów moskiewskich i tam zapewne się uda; a przed wyjazdem będzie się starał matkę i wuja pożegnać.

W położeniu Cześnikiewicza zaszła téż zmiana, gdyż wkrótce po ożenieniu z panną Sauer, hrabiego majątki poszły na licytacyę i Baron w imieniu siostrzenicy je nabył, dołożywszy swoich około pięćdziesięciu tysięcy talarów. Doskonały i praktyczny bardzo administrator, Baron zjechał zaraz na miejsce, obejrzał folwarki i zapowiedział, że sprowadzi agronoma, pożyczy obrotowy kapitał i na siebie gospodarstwo obejmie. Wypowiedziano więc dzierżawę panu Ostójskiemu, który chwilowo był w kłopocie, znalazł przecie, niechcąc się jeszcze kupnem związywać, znaczny, opatrzony folwark w pobliżu, który zadzierżawił i do niego się przeniósł. Grunta dochodziły do pół mili od miasteczka, domu nie było mieszkalnego, najęto więc dwór w mieście, pod pozorem, że ten który zajmował kanonik był za szczupły... Mieszkanie w miasteczku mało co rodzaj życia zmieniło, Ostójski tylko częściéj wyjeżdżać musiał, a Zosia była samotniejszą. Chwile te najczęściéj spędzała w dworku z matką Juliana, którą jakby własną kochała. Przychodziła z robotą, z książką, z koszyczkiem w którym jakąś przyniosła nowalię, i to pomagała w ogródku, to czytała głośno, to rozmawiała z kanonikiem. Stała się tu prawie domową. Biedna na straży sobie wybrała miejsce, by być jak najbliższą wieści od Juliana. Odważyła się nawet, czego się młodéj panience nie chwali, na krok bardzo stanowczy. Ofiarowała się podstępnie kopertować, zapisywać i pieczętować listy matki do Juliana, a dyplomatyzowała tak zręcznie, iż nim przyszło do pieczątki, ukradła sobie miejsce na przypiski... Oznajmiła wszakże Julianowi, iż to czyni bez niczyjéj wiedzy i na własną odpowiedzialność.

Na przypisek ten nie było téż odpowiedzi żadnéj, tylko znów ukłony ale nie całemu domowi Ostójskich, osobiście Cześnikiewiczowi, pannie Zofii i pannie Klarze. Zawsze był to był maleńki podstęp. Za drugim razem Zosia śmielsza już, zamiast pośpiesznego przypisku, osobną miała kafteczkę w pogotowiu i do koperty ją wsunęła.

Nie było w niéj nic doprawdy czego by papa i ciocia czytać nie mogli, ton listu żartobliwy i wesoły, a przecież jak on mówił wiele!... Jak go tam przywitano, zostało tajemnicą, gdyż pan Julian nie ośmielił się odpowiedzieć, ani nawet podziękować, w przypisku tylku dołożył nieco czuléj — całuję rączki panny Zofii i dziękuję za wszystkie jéj dla mamy, a przez matkę dla mnie świadczone dobrodziejstwa...

Tłumaczyło się to tém, iż matka Juliana donosiła mu jak o niéj poczciwa Zosia nie zapomniała.

Od tych pierwszych prób, panna Zofia bezkarnością ośmielona, puściła się w formalną korespondencyą, choć zawsze bez odpowiedzi. Sprowadziła sobie cieniuteńki papier, aby niepostrzeżenie całą jego ćwiartkę wsunąć mogła i powiedziawszy sobie, że czy trzy wiersze, czy cztery stronnice grzech już jeden, zasypywała maczkiem od końca do końca arkusik.

Sprawiało jéj to niewymowną pociechę. Opisywała mu życie swoje, matki, Kanonika, mieściła nawet małe niewinne ploteczki. A choć czasem łzami przy pisaniu zwilżone były oczy, list zawsze był wesolutki, dziecięcy... miluchny jak szczebiotanie ptaszka...

„Jesteś ty uparty", mówiła Zosia, „ale i ja nią być potrafię. Chcesz ty czekać, będę czekała i dowiodę ci że kobiece serce lepiéj od waszego brzydkiego sercyzka kochać umie."

Stara matka Juliana tak już była nawykła do kopertowania, pieczętowania i adresowania Zosi, że nigdy żadnego do syna nie wyprawiła listu, żeby jéj o tę pomoc nie prosiła. Któż tam wie — może się co i domyślała, bo listy z czasem grubiały, a czasem nieostrożna Zosia zapędziwszy się półtoréj ćwiartki wsuwała, co kopertę czyniło podejrzaną. A jednak matka nigdy nie dopatrzyła się defraudacyi.

Julian w ostatnim z listów doniósł nareszcie, że po namyśle chce próbować szczęścia inaczéj i wybiera się do Ameryki południowéj... a nim wyjedzie przybędzie wziąść matki i wuja błogosławieństwo...

Zosi z podróży czytanych znany był ten kraj tylko z żółtéj gorączki, przestraszyła się niezmiernie i zaklęła Kanonika i mamę, aby w żadnym razie nie puszczali Juliana do tego kraju, w którym tak okropne choroby panują. Wolała już Rosyę, bo była bliżéj, a cholera wydawała się jéj mniéj jakoś niebezpieczną.

(C. d. n.)

SŁÓW KILKA O WYCHOWANIU

przez

STAREGO PEDAGOGA.

(Dokończenie.)

Palącą dziś kwestyą jest t. z. emancypacya kobiety, t. j. wyzwolenie jéj z ciemnoty, otworzenie dróg do pracy i wiedzy, które dla mężczyzn otworem stoją. Kierunek to słuszny, oparty na sprawiedliwości, ale ci co go z zapałem popierają niech na chwilę z oczu nie tracą zadania kobiety, zadania z natury jéj wypływającego. Kobieta przedewszystkiem winna być matką, a żeby nią była w całém znaczeniu tego słowa, musi odpowiednio być przysposobioną.

Kobieta wyrzekająca się dobrowolnie tytułu matki, albo kobieta której losy nie dały go posiąść, niechaj się usposabia, niechaj pracuje w każdym zawodzie, któremu podołać będzie mogła. Ale macierzyństwo i jego zadanie wymaga działalności niepodzielnéj; jest to specyalność której całą siłę moralną i fizyczną poświęcić należy. Jak nauczyciel nie może na barkach swoich dźwigać różnorodnych obowiązków, tak matka tylko w granicach rodziny zadanie swe spełniać powinna. Zasada ta jest głębszą i ważniejszą niż się napozór zdawać może. Niechaj politycy szukają przyczyn upadku Francyi w abstrakcyjnych kombinacyach politycznych — my twierdzić nie przestaniemy że w wielkiéj części źródło tego upadku leży w rozprzężeniu rodziny, któréj brak jest matki. Trudność zdobycia bytu, zmysłowość i gonienie za uciechą światową wygnały z ogniska domowego matkę — zostawiły wychowanie całego pokolenia zakładom publicznym, które nigdy matczynego nie zastąpią.

II.

Gdy po raz pierwszy uczucie macierzyństwa przejmuje roskoszą łono niewieście, wtenczas odzywają się w sercu każdéj matki gorące życzenia szczęścia dla dziecka, przeczucie tego, czém matka być może i czém być powinna. Obraz, jaki sobie każda matka stwarza jest pełen roskoszy i miłości. Jest to dzieło natury. Lecz oswojenie się osłabia z czasem tę radość. Codzienne zajęcia czynnéj gospodyni domu, wymogi życia towarzyskiego, względy społeczne i rozrywki zacierają rychło pierwsze wrażenia kilku chwil świętych, matka staje się obcą dla dzieci, i wtenczas to dochodzi do owego pożałowania godnego stósunku, który w obecnych czasach staje się coraz więcéj „modnym“ i do dobrego tonu zaliczanym bywa.

Skoro młode dziewczęta opuszczą szkołę lub pensyę, gdzie z małemi wyjątkami o to głównie się starano, by je przysposobić do wystąpienia w salonie, od téj chwili wszystkie ich i płochéj matki zabiegi są zwrócone głównie ku temu, by „robić efekt“ i „podbijać“. W tym celu musi wychowanie ich tu i owdzie być jeszcze „dopełnianem“. Fortepian i śpiewy, taniec i malarstwo, konwersacya, strojenie się i kokietowanie, owóż konieczne wiadomości. Biada dziewczęciu, które tego nie posiada! Losem jéj pogarda wszystkich sióstr. W kołach mniéj pretensyonalnych musi dorosłe dziewczę przez czas niejaki „uczyć się gospodarstwa“. W jakiż sposób zaś i gdzież przygotowuje się młoda niewiasta do powołania matki? Nie przygotowana, bez znajomości znaczenia istoty tego najnaturalniejszego ze wszystkich obowiązków powołania niewieściego, wstępuje większa ich część w stan małżeński a szczęśliwemi są jeszcze te dzieci, których matką kieruje naturalne uczucie. Nie podnosimy głosu naszego za zakładami, przygotowującemi do powołania niewieściego, („uniwersytetami“), są one niebezpieczne. Lecz za nieodzowną uważać musimy powinność, aby dziewczęta przygotowywały się do powołania macierzyńskiego. Rodzina, dom, kółko dzieci, są najstósowniejszemi miejscami, gdzie dziewczę pod dozorem i kierunkiem wykształconéj i rozsądnéj matki może się przygotować a nauki i przykład takiéj matki musi naturalne zdolności niewieście do zupełnego doprowadzić rozkwitu. I w literaturze naszéj, poświęconéj wychowaniu młodego pokolenia, znajdziemy dzieła, które w dostępnéj formie zdolne są przygotować niewiastę do jéj powołania. Że i szkoła nawet nie powinna zaniedbywać przysposabiania do powołania niewieściego, okażemy to późniéj. Byłoby bardzo pożądaném ażeby pedagogowie miewali odczyty w tych przedmiotach i ażeby pisma otworzyły dlań swe łamy. Taka agitacya dałaby zachętę i popchnęła do dalszych na tém polu zabiegów.

Przywykła do uciech i zabaw matka, która od dwunastego już roku odgrywała rolę „damy“, wszystkie przebyła mody, piła ze wszystkich kielichów uciech, zwiedzała herbaty tańcujące — thés dansantes — i bale i przyjmowała hołdy (pour ainsi dire) płci męzkiéj; taka matka zgubioną jest dla najwyższéj i najnaturalniejszéj roskoszy niewieściéj, dla roskoszy macierzyństwa. Jeżeliby przy sposobności udawała takową, był to tylko pozór i blichtr, jak jéj życie całe. Głęboką, serdeczną, błogą, do najwyższych ofiar gotową roskosz macierzyńską — miłość macierzyńską — jaka każdéj istocie żyjącéj w przyrodzie jest właściwą — zna podobna matka chyba z romansów i jeżeli uczuwa miłość to ona dla niéj jest tylko pewnego rodzaju romansem. Gdy wchodzi do izby dziecinnéj, uczuwa zmartwienie miasto radości. Hałasu, wesołego biegania, płaczu i krzyku „delikatne ich nerwy znieść nie mogą“, a suknia na krynolinie rozsiadła i cały szereg strojów wzbraniają dziecku serdecznego rzucenia się w ramiona matki. Jeżeli lekarze utyskują na zaniedbanie ciała dziecka, o ileż więcéj późniejsi przełożeni utyskiwać muszą na zaniedbanie moralnéj strony jego.

Niańki i służebne strzegące dzieci są często pogardliwie traktowane. Szafy i komody troskliwie zamykają się przed niemi, co na patrzące na to dzieci zgubny wpływ wywiera. Wedle nas nieodzowną jest powinnością każdéj matki, aby się cała dzieciom oddała, aby część swych zabaw i uciech im poświęciła, aby śród nich wzniosła tron swój, dzieliła małe ich radości i smutki, czuwała nad wrażeniami, jakie młode ich odbierają dusze i ażeby z tro-

skliwością obserwowała najmniejsze objawy duchowego ich życia. Zaufanie i niekłamana miłość dzieci wynagrodzi jéj to obficie.

Większa część rodziców i wielu przełożonych chce słowami wychowywać. Wydają rozkazy i przepisują reguły postępowania, moralizują i grożą, karzą słowami. Jest to wielka pomyłka. Wychowywać znaczy działać. Czyny wychowawcy dokonują wychowania i tylko czyn nadaje słowu właściwą jego wartość i znaczenie.

Wychowująca matka żąda np. ażeby dzieci umiały nieraz odmówić sobie uciechy. Bardzo to piękne! Matka rozkazuje, namawia, przestrzega, grozi a nareszcie karze. Napróżno! Dobrowolnie nie wyrzeką się one nigdy i niczego, bo matka sama sobie nic odmówić nie może, o czém dzieci lepiéj wiedzą niż matka niezwracająca na się uwagi. Skoro zaś widzą że matka bez trudu i wesoło robi poświęcenia, przyzwyczajają się do ofiary łatwo a jedna uwaga w takim wypadku znaczy więcéj niż owych słów tysiące.

Jeżeli matka zwodzi dzieci, ojca lub innych, czy to żartem czy téż na seryo, żadne, choćby najsurowsze kary nie zniewolą dziecka, by było otwartém, by mówiło prawdę. Czystość, porządek, punktualność, przezorność, skromność i przyzwoitość, wszystko to są przymioty których z przykładu matki i osób otaczających dziecko się uczyć powinno. Dla tego każda rozsądna matka jako też każdy przełożony uważa na siebie z największą troskliwością, korzysta z najmniejszéj choćby okoliczności, w ciasném ich kole się nadarzającéj zwraca na nie uwagę dziecka, przyzwyczaja je do wszystkiego, oszczędzając tém samém sobie wiele zmartwień i bezskutecznéj kary.

„Wychowuję dzieci moje z największą surowością“, mówi z chlubą o sobie niejedna matka. Przypatrzmyż się nieco téj macierzyńskiéj surowości! — Pod okiem matki bawiły się dzieci, nagle sprzykrzyło się to surowéj matce i rózga przywraca spokój. Surowość podobna jest niewłaściwą i dziwną. To, co wiele razy było dozwolonem, sprowadza na dzieci karę. Dzieci idą bezwiednie za swemi skłonnościami, a jeżeli rada lub nagana nie skieruje ich czynności na inne pole, to wtenczas karania surowością nazwać nie można. Często się zdarza, że gdy matka jakiéjkolwiek z powodu dzieci doznaje niewygody, następują gniewy, łajania i kary! Karanie nie jest wychowaniem! Kara ostatnim a przeto najrzadszym powinna być środkiem wychowania, nie jest ona lekarstwem na ulżenie gniewu przełożonego. Kara wtenczas dopiero jest właściwą, gdy dziecko z wiedzą źle czyni.

Postać, giesty i całe zachowanie się matki, powinny być spokojne, pogodne, uprzejme. Matka musi być podobną do gładkiéj powierzchni spokojnego jeziora, w którem zawsze tylko odzwierciedla się słońce miłości. Gniewy, łajania, słowa opryskliwe, nieestetyczne, głośne, hałaśliwe szamotanie się i nigdy nie kończące się zrzędzenie nie jest surowością, nie jest wychowaniem. Postępowanie takie nie ma żadnego celu, jest nierozsądne, a z powodu niekorzystnego wpływu — tak na matkę samą, jak i na dzieci — niczém usprawiedliwić się nie da. Lecz i surowość, inaczéj pojęta, bywa konieczna. Surowość właściwa nie jest niczém innem jak niewzruszone obstawanie przy objawionéj raz woli, słowem jest konsekwencyą. Aby to było podobném, powinien taki objaw woli zdarzać się ile można jak najrzadziéj, życzenie lub lekkie skinienie, a w razie najlepszym rozbudzone w samych dzieciach uczucie prawdy i piękna powinno wystarczyć. Przełożony, a tém bardziéj dzieci wszystkich przepisów wychowania spamiętać nie mogą. Każdy objaw woli musi być wynikiem dojrzałego namysłu, a nie chwilowym kaprysem, zmuszającym nieraz do odstąpienia od niego, ponieważ dziecko wykonać go nie może lub nie chce.

Podobna surowość nie wyklucza uprzejmości; uprzejmość owszém powinna być władczynią nad wszystkiém górującą.

Miłość macierzyńska jest najszlachetniejszém i najsilniejszém uczuciem, do jakiego serce jest zdolne. Czułość macierzyńska wzrusza każdego człowieka. Cześć więc i głębokie uszanowanie szlachetnemu uczuciu! Lecz co matki oznaczają niekiedy tém mianem, to na nie nie zasługuje. Jakże często dzieci, udawaniem nawet rządzą matką. Płaczą żałobliwie, opierają się, dąsają, hałasują lub podchlebiają — czemu? Ponieważ dokładnie znają słabe strony matki i uderzają w nie tak zgrabnie, że zwykle z pomocą podstępku przeprowadzają wolę swoją. Słabość ta nie do darowania, jeżeli matka każdym daje się poruszyć płaczem, żadnego odwrócić nie może życzenia, żadnéj prośby, żadnego wykonać rozkazu, i gdyby serce przepełniło się zaraz czułą obawą o przyszłość dziecka, postępowanie jéj byłoby innem.

Znają zapewne czytelniczki nasze boleść matki patrzącéj na niegodne dzieci, znają łzę, spływającą z jéj oka i wypalającą w sumieniu zarzut własnéj winy, włos osiwiały ze zmartwienia, kłopotu i troski, i serce rozdarte przez dzieci. Komuż z nas widok ten jest obcy!

Ale obok tego, nie obcą nam jest także duma, roskosz matki, prowadzonéj ręką szlachetnego młodziana, nie obcą łzą szczęścia spływającą z jéj oka. Oto kara i nagroda matki.

FRYDERYK SZOPEN.

(Ciąg dalszy.)

Widzimy z tego jaka zmiana w losie Szopena zaszła. Nieolśniewała go jednak nigdy ta fortuna. Przyjął ją bez dumy i fałszywéj skromności, niepozwalając się ani na chwilę łechtać próżności, która tylko niepowołanych parweniuszów jest udziałem. Polacy w ówczas w Paryżu przebywający przyjmowali go z otwartemi rękoma i sercem. Często odwiedzał dom książąt Czartoryskich, hrabiny Plater, p. Komar i jéj córkę księżniczkę de Beauveau i hrabinę Delfinę

Potocką, któréj piękność, dowcip i głos powszechnie na salonach Paryża był wielbiony. Fontana, Orda, Grzymała Ostrowski, Szembek i książę Lubomirski, byli prawie stałymi jego gośćmi. Przybywające rodziny polskie do Paryża starały się zawrzeć z nim znajomość, a on pomimo, że na wszystkie strony był rozrywany, zawsze im pierwszeństwo oddawał. Lubił bardzo piosnki i melodye nowe, które się w jego nieobecności w kraju potworzyły. Przez czas długi unikał Szopen znakomitości poszukiwanych w Paryżu. Ich świty hałaśliwe męczyło go. Do wystąpień publicznych a cichego dźwięku i z przyczyny łatwego tuszu, pozwalającego wydobyć ton imitujący harmonikę. Kąty pokoju bez światła zdawały się przedłużać do nieskończoności. Głowy najwięcej opromienione iskrą bożą, otaczały fortepian. Heine najsmutniejszy z humorystów zdawał się płynąć na skrzydłach fantazyi w tajemnicze kraje poezyi. Przy Heinym siedział Meyerber i śledząc wszystkie szczegóły i arabeski, które otaczały myśl Szopena, tonął w roskoszy. Daléj Hiller jeden ze szczerych i utalentowanych Fryderyka przyjaciół. Za nim Eugeniusz Delacroie milczący i zamknięty



Puławy.

miał wstręt nieprzezwyciężony. Mawiał zwykle, że gra jego za cichą jest dla tłumu. Wieczory, które miewał u siebie były dlań najpowabniejsze i wtenczas to gra jego była najwymowniejszą, bo rozumiejąca publiczność w lot myśl każdą chwytała. A ponieważ płeć piękna szybciéj piękno chwyta, najbardziéj téż się nią lubiał otaczać. Nie my jedni (mówi Liszt) pamiętamy jeszcze te improwizowane wieczory, w tenczas kiedy mieszkał jeszcze na Chaussée d'Antin. Jego pokój, któryśmy naszli niespodzianie, zaledwie kilkoma świecami był oświetlony. Świece otaczały fortepian z fabryki Pleyela, którą on uważał za najlepszą z przyczyny srebrnego w sobie. Tu znów nad grobem stojący bard i stary rycerz Niemcewicz, a tam Mickiewicz ów Dant północny, któremu zawsze schody i chleb wobczyźnie zdawały się gorżkiemi. W głębi fotelu, oparta na konsolce siedziała pani Georges Sand.

Wspomniawszy ostatnie to imię, niemożemy go nadal pominąć ze względu stanowczego wpływu, jakie miało na życie naszego mistrza. Pan Karasowski w następujący sposób opisuje pierwsze poznanie. Było to na wieczorze; Szopen zasiadł do fortepianu i kiedy pośród gry spojrzał niechcący przed siebie, ujrzał kobietę nieruchomą, niby ka-

mienny posąg, przed nim stojącą, która swemi ciemnemi oczami zdawała się go na wskroś przeszywać. Po skończonéj muzyce, nastąpiło wspólne bliższe poznanie, atoli kobieta ta przykre na nim czyniła wrażenie, „poznałem wielką znakomitość panią Dudevent“, pisze do rodziców Szopen, „ale twarz jéj niesympatyczna, niepodobała mi się.“

Wkrótce po poznaniu się stósunki bliższe nastąpiły. Słabość Szopena zmusiła go do opuszczenia Paryża, a ponieważ i pani Georges Sand w tem samem położeniu była, udali się więc razem na wyspę Majorkę. Zdaje mi się, że więcéj interesu budzić będą własne słowa autorki Indiany; pozwólmy więc jéj saméj mówić.

W r. 1838, t. j. od chwili w któréj Maurycy (syn) był mi powierzony, zdecydowałam się wyszukać dla niego miejsca, w któremby zima była łagodniejszą niż u nas. Tym sposobem spodziewałam się ustrzedz go od reumatyzmu. Prócz warunków ciepła, chciałam znaleść miejsce spokojne, gdziebym mogła pracować nad wychowaniem siostry Maurycego.

W chwili tego projektu, Szopen, którego codzień widywałam i którego geniusz serdecznie kochałam, powiedział, gdybym mógł być na miejscu Maurycego, wróciłbym do zdrowia. Uwierzyłam mu i zawiodłam się. Nie umieściłabym go nigdy na miejscu, ale obok Maurycego. Przyjaciele jego zmuszali od dawna do wyjazdu na Południe. Zdawało mi się że ma suchuty. Gaubert wyegzaminowawszy zaklinał się, że ich niema. Uratuje go pani łatwo, jeżeli mieć będzie świeże powietrze, spacer i wypoczynek. Przyjaciele wiedząc dobrze, że Szopen nigdy niemógłby się zdecydować na opuszczenie Paryża, bez osoby kochanéj przez niego i oddanéj jemu, zmusili mnie do nieodmówienia propozycyi zupełnie nieoczekiwanéj.

Lecz oto nastała chwila pomyślna dla zdrowia Szopena. Oprócz Grzymały, wszyscyśmy téj nagłéj zmianie wierzyli. Tymczasem po razy kilka prosiłam Szopena, ażeby zechciał się porachować ze swemi moralnemi siłami, ponieważ dotąd nigdy bez przestrachu niemyślał o wyjeździe z Paryża, o opuszczeniu swego doktora, swoich stósunków, swego pokoju, nawet fortepianu. Był to człowiek nad którym przyzwyczajenia panowały, tak że każda zmiana, chociażby najmniejsza, była okropnym wypadkiem w jego życiu.

Już na wyspie biedny artysta był chorym niedozniesienia. To czego się obawiałam nastąpiło na nieszczęście. Zdemoralizował się do ostateczności. Znosząc cierpienia z odwagą, nie mógł zwyciężyć niepokoju imaginacyi. Pustelnicze to miejsce było dla niego pełne strachów i upiorów, nawet wtenczas kiedy zdrów był. Kiedym wracała z dziećmi z nocnych wycieczek, znajdowałam go o godzinie 10 wieczorem, siedzącego przed fortepianem, bladym, z oczami stojącemi i najeżonemi włosami. Do ocknięcia się z tego stanu potrzeba mu było chwil kilku.

Następnie starał się śmiać do nas i grał nam boskie rzeczy, które przed chwilą utworzył. W tych to chwilach stworzył on te kruciutkie a najpiękniejsze karty, które skromnie nazywał preludiami. Z pomiędzy wielu kart poświęconych Szopenowi wyjmujemy jeszcze określenie jego geniuszu.

Geniusz Szopena jest jednym z największych i najwięcéj posiadających uczucia, które dotąd istniały. On zmuszał instrument mówić językiem nieskończoności; on umiał streścić czasami w dziesięciu wierszach, które dziecko z łatwością wygrać mogło, poemata wznoszące się do nieskończonéj wysokości, dramaty siły niezrównanéj. On nigdy niepotrzebował, używać wielkich środków ażeby nadać wyraz swemu duchowi.

W ten to sposób p. Sand opisuje zbliżenie się z naszym artystą. Od chwili wyjazdu na wyspę Majorkę, przez lat przeszło ośm nierozłączali się już z sobą. Pani Sand w pamiętnikach swoich usprawiedliwia się z zarzutów jakie jéj z powodu Szopena czyniono. Mówi, że pewnego rodzaju przestrach nią ogarnął w obec nowych obowiązków jakie względem Szopena zaciągnęła, ale był to przestrach matki troskliwéj i kochającéj.

Zerwanie po latach ośmiu nastąpiło nagle — z czyjéj jednak strony pobudka ku temu daną była, dotąd jeszcze nie jest rozjaśnione. Pani Sand ubolewa, że w chwili rozłączenia Jan Matuszyński, przyjaciel, już nie żył, że jego przyjaźń, wpływ jaki na Fryderyka wywierał, byłyby niezawodną rękojmią odwrócenia lub sparaliżowania szkodliwych i jątrzących sieci, jakiemi według jéj przekonania Szopena otoczono.

Dosyć, że to rozłączenie się stanowczy wpływ na zdrowie jego wywarło, a w chorobie sam często powtarzał, że zerwanie przyjaźni, zerwać musi życie. Ogłoszenie listów Szopena, listów znajdujących się w rękach bogatéj Angielki, cały ten peryod życia jego rozjaśni nam w przyszłości.

(Dokończ. nast.)

Z ROMANZERO I PIEŚNI HEINEGO.

Przekład Al. K.

IV.

Posłuchaj giermku rozkazu pana
Spiesz i osiodłaj wnet konia,
I pędź przez lasy, gory i błonia
Do zamku króla Dunkana.

A gdy zobaczysz znany ci wzgórek
Spiesz tam, gdzie są masztalerze
I tych wybadaj: która z dwóch córek
Ślub przed ołtarzem dziś bierze?

Kiedy ci rzekną: że czarnobrewa
W lot ptaka przyjdź mnie pocieszyć,
A jeźli rzekną że biała dziewa
Niemasz się czego tak śpieszyć...

Tylko mi kupisz — jak drzewo suchy
Sznur długi, mocny — lecz cienki,
Potém tu wrócisz — jak skała głuchy
I sznur ten — dasz mi do ręki...

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

Miałem w młodości mojéj towarzysza szkólnego, który był rodem z Wieliczki.

W kole naszem mówił on najlepiéj i najpoprawniéj po polsku — i to dawało mu pewne znaczenie i pewną wyższość w kole rówienników, w którem się każdy z nas ubiegał o nabycie dokładnéj znajomości mowy ojczystéj.

Jedni dorabiali się téj znajomości za pomocą słownika Lindego i Kopczyńskiego gramatyki, inni — robiąc wypisy z zygmuntowskich pisarzy, szli drogą praktyczną, po wielkich wzorach polszczyzny, ale nasz towarzysz wielicki, patrzał obojętnie na usiłowania jednych i drugich — i poprawiał nas w każdéj rozmowie, przy składzie każdego okresu, powtarzając wiecznie:

„To się nie tak, ale tak mówi.“

A kiedyśmy go pytali dla czego? nie umiał ani nam, ani sobie zdać z tego sprawy — lecz powtarzał zazwyczaj:

„U nas w Wieliczce to się tak mówi.“

A że te poprawki brzmiały wdzięcznie w sercach naszych i w uszach — przyjmowaliśmy je z pokorą nieuków, wzdychając do obiecanéj ziemi, w któréj ludzie tak pięknie mówią po polsku, nie znając ani Lindego, ani Kopczyńskiego, ani wzorów poprawnéj zygmuntowskiéj polszczyzny.

Towarzysz nasz, był nietylko rodem z Wieliczki, ale synem rodziny górniczéj, która od kilkuset lat zamieszkała w Wieliczce.

Synowie po ojcu dziedziczyli twarde rzemiosło, a córki wydawano za górników.

Byli téż dobrze osiedli, mieli własny dworek z rządném obejściem, trzy piękne sady drzew owocowych na trzy strony od dworku, który stał na wzgórku i białemi ścianami świecił na miasto.

Mieli téż grunta, na kilka korcy wysiewu za miastem, trzymali krowy, czasem konika, a należąc do kapeli górniczéj, trzymali się tradycyjnie zamiłowaniem muzyki.

Mieli we dworku klawikordzik i kilka instrumentów, stosy nót kościelnych i światowych pieśni, a i z tego grania kapnął nieraz grosz do kolety, w czasie imienin i wesel, w czatie kolend, zapust i balików. Nadto dawali goście zwiedzający kopalnie wielickie, zawsze coś, jak to mówią na chwałę górników i kapeli.

Otóż rodzina ta, z któréj nasz towarzysz pochodził, żyła przy pracy całego domu, skromnie ale uczciwie, w bojaźni boskiéj, w miłości ludzkiéj — i jakąś piękną sielanką wydały nam się te obyczaje rodzin górniczych, z opisów naszego towarzysza, który szczególniéj w ówczas w zapał w padał kiedy o Wieliczce mówił i tak się pięknie wysławiał po polsku w wylaniu tych uczuć — i obrazków, żeśmy słuchali w zachwyceniu opowiadań jego, jak najpiękniejszéj muzyki.

Parę lat przeżył on w naszym kole, ale tęsknił bardzo za Wieliczką i Krakowem i wiedzieliśmy już od pół roku że nas porzuci.

Było to po skończonym kursie i zbytych egzaminach, nazajutrz mieliśmy się rozjechać, każdy w swoją stronę, — ostatnią tedy noc spędziliśmy razem, w tém wylaniu serc młodych które się rozstają z sobą na długo — może na zawsze...

Każdy z nas przyniósł coś na tę ucztę wspólną. Tłomoczki i kuferki były już spakowane — i nikt z nas nie kładł się do łóżka, a na rozmowie serdecznéj, którą w każdem słowie miłości ojczyzny ożywiała! — zeszła nam noc letnia.

Gdy świtać poczynało, w ówczas dopiero zapytaliśmy towarzysza naszego, jak się do Wieliczki ze Lwowa dostanie? „Tak samo, jak się z Wieliczki dostałem do Lwowa.“

Umówiłem się z brykarzem z Bielska, że będę na niego czekał o świcie, przy pierwszéj karczmie za Grudecką rogatką. Przyjmie on na brykę mój tłomoczek, pozwoli siąść pod płótnem gdyby słota była, pomogę mu coś przy koniach, kupię mu codzień poczęsne — a drzymiąc na bryce lub idąc koło bryki, dostanę się wreszcie do Wieliczki. Brykarze, nie robią więcéj nad cztery do pięciu mil dziennie, ale za dziesięć dni będę w domu, a niema na tém straty, że człek coś świata przejrzy w téj drodze — i z ludźmi się rozmówi.

„Odprowadźmy go razem“, odezwało się kilka głosów, a dwóch z nas poniosło jego tłómoczek, i wyszliśmy z naszéj studenckiéj kwatery, idąc z Chorążczyzny przeszliśmy Nowym światem, do Grudeckiéj rogatki. Ranek był prześliczny, i tylko kilka mleczarek dążących do miasta spodkaliśmy w drodze naszéj.

Bryki już były przeszły dawno przez rogatkę i zdawały się dochodzić już do Bogdanówki, na wysokość wietrznych młynów. Niewypadało tu tedy porzucić towarzysza i pospieszyliśmy za brykami.

Pod kolonią stoi tam drewniana karczma na lewo, tu tedy wstrzymały się bryki, i oddawszy brykarzom towarzysza naszego, pożegnaliśmy go serdecznie, opatrzywszy wprzódy miejsce w bryce, na któréj miał się dostać do Wieliczki.

Poczciwy Szlązak wyścielił mu pod okryciem płótna, nie tylko siedzenie, ale wygodne łoże. Bryk było cztery, które szły razem, ogromne, do ruchomych budynków raczéj podobne, niż do wozów; wysoko i szeroko wańtuchami wełny napakowane, szły samym środkiem gościńca i nieustępowały nikomu z drogi. Po sześć koni szło przy każdéj bryce, a konie te były raczéj do słoniów podobne ogromem swoim.

Jest coś dziwnie czułego i serdecznego w tych pożegnaniach studenckich, i w tém rozstaniu się młodych dusz, które nieopatrzone i nieopatrzne — rzucają się w świat, z tą nadzieją i wiarą, że gdzieś w innéj stronie świata, znajdą i zdobędą coś dla siebie.

„Bądź zdrów! bądź zdrów! a nie zapomnij o nas!“

„Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi! — a choć raz w ży-

ciu, musi być każdy Polak w Wieliczce i w Krakowie, więc jak z Was który będzie w Wieliczce, pytajcie tam górników o mnie, a oprowadzę Was i po kopalniach i po kościołach i mogiłach krakowskich.“

Bryki ruszyły, a my wracaliśmy wolno oglądając się często jeszcze za miłym sercu towarzyszem, który na pożegnanie trzy razy jeszcze w górę czapkę wyrzucił.

Kilka lat od owéj chwili upłynęło. Ukończyliśmy już szkoły i uniwersytet, i każdy się z nas ujrzał w innéj stronie i wśród innych stósunków, a o towarzyszu naszym z Wieliczki, słych nawet przepadł, bo raz tylko pisał zbiorowy list do wszystkich, gdy do domu szczęśliwie powrócił, zapowiadając to, że więcéj pisać nie będzie — i że nie jemu do nas, ale nam droga do niego.

W istocie poprowadziła mnie droga do Wieliczki.

* * *

Było to w r. 1834. Seweryn Goszczyński z którym w owczas w ścisłéj żyłem przyjaźni, był bardzo ścigany i wypadało go przewieźć w inne strony, bo się nie mógł dłużéj utrzymać, ani we Lwowie, ani w obwodach najbliżéj miasta przyległych.

Policya śledziła czujnie każdy krok jego, wypatrzyła wszystkie domy, w których się kolejno ukrywał — i tylko wielka jego przytomność i zimna krew, udaremniła nie jedną zasadzkę i łapkę na niego zastawioną. Niechciał on długo kraju opuścić i emigrować, a trudno już było dla niego obmyśleć miejsce bezpiecznego pobytu na Rusi, zwłaszcza, że nie chciał i nie przerywał prac swoich, a potrzebował zawsze bezpiecznego kąta, w którymby mógł swobodnie odetchnąć i pracować daléj.

Trudno było téż pojąć w istocie, jak mógł przy tak niepewném położeniu, nie tracić natchnienia do pracy i podjąć zawsze na nowo wątek przerwany rozpoczętych robót.

Gdy w chwilach niebezpieczeństwa, nocnego lub dziennego napadu wojska na dom, wszyscy bledli w obawie o niego i drżeli w sercu przerażeni, nie tracił on jeden przytomności, ani odwagi, kończył nawet nieraz rozpoczęty okres lub wiersz, spoglądając spokojnie przez okno na drogę po któréj szło wojsko — a potém oddawał paniom swoją tekę na schowanie, uśmiechnął się nieco ironicznie, włożył do bocznéj kieszeni surduta dwururną nabitą krucicę i wychodził wolnym krokiem z domu, znając lepiéj nawet od domowników samych drogę, do najbliższych krzewów, płotów i przełazów, za któremi niknął jakby się zapadał w ziemię. Czasem przeleżał w konopiach, w chmielniku lub pokrzywach cały napad — i kończył rozpoczęty wiersz, który mu przerwano, pisząc ostatnie zwrotki jego ołówkiem w małéj książeczce, którą miał zawsze z sobą.

Nieraz przesiedział cały najazd na drzewie w sadzie tuż przy dworze, a kiedy wszyscy domownicy po ustąpieniu komisyi i wojska, troskali się nim nie wiedząc gdzie się podział i co się z nim stało, rzucał on jabłkami na przechodzących — i zeskakując z drzewa, śmiał się z ich trwogi. Czasem nawet wziąwszy na siebie liberye usługiwał u stołu komisarzom i oficerom, którzy po niego przybyli. Czasem gdy go linia obławy minęła, podniósł się z rowu lub szuwaru i pieszo idąc polami i manowcami, przeszedł nocą lub dniem mil kilka, a kiedy go powitano znowóż w znajomym dworze, był tak spokojnym i pogodnym jak gdyby z małéj powrócił przechadzki i nikt się nie mógł nawet domyśleć tego w jakich był obrotach.

Dziwna rzecz, nikt Seweryna więcéj nie cenił i nie kochał od ludzi prostych, w każdéj wsi i w każdym dworze — i to ułatwiało bardzo trudne częstokroć położenie jego, bo każda prosta dusza była gotową pospieszyć mu z pomocą i ratunkiem.

Kiedy powiedziano we dworze lub we wsi: pan Gacek przyjechał, czy przyszedł — to radość była powszechną i wszyscy spieszyli na powitanie jego, tak dobrze umiał się złożyć z ludźmi.

Gackiem nazywał się Seweryn Goszczyński wówczas dla tego, że dopiero o zmroku wybiegał na pola i lasy, jak nietoperz wylatuje o zmroku. Ale ta nazwa miała dla ludzi prostych na Rusi jakieś odrębne, mistyczne znaczenie, mówili że jak nietoperza, nikt go nie złapie, bo nosi taki kamień przy sobie, co go urabiają gacki w gnieździe swojem — i każdy przybywał mu z pomocą gdy jéj potrzebował, bo wiedział że ma przy sobie kamień, co go niewidocznym czyni.

Legenda ludowa przybyła tu w pomoc poecie, który dobrze mówiąc po rusku, umiał chwycić prostych ludzi, za serdeczną stronę wyobrażeń i wierzeń ludowych.

Miał téż tak dziwne znajomości po przysiółkach, po leśniczówkach i pasiekach leśnych, iż dworki, chaty i pasieki postronnie leżące, których nikt nie znał, dawały jemu bezpieczny przytułek.

Nie raz mistyfikował mnie, temi znajomościami swojemi i musieliśmy milę lub więcéj nieraz zjeżdżać z znanych gościńców i dróg, bo Gacek miał tu przyjaciela pasiecznika, któremu przyrzekł przywieść ołówek, tabakę i flaszeczkę z bobrowym strojem, w które to krople dziad leśny tradycyjnie wierzył.

W innéj wsi znowu przeszliśmy tylko przez płoty do wielkiego sadu i pokazało się, że dziad stary sadownik w budzie, był wielkim przyjacielem Gacka, przeleżał on w budzie jego bowiem raz kilka zimnych nocy jesiennych i palił pod suszarnią, gdy zamek, ogrody i sady otoczyło wojsko; więc zawdzięczając tę przysługę, przywiózł w rok późniéj na gościniec wielki kapczuk z dobrym tytuniem, okutą drewnianą fajkę, doskonałe angielskie krzesiwo i kilka dobrych krzemieni. Dziad tak się ucieszył tym darem, iż poszedł po pod płoty chyłkiem do karczmy po wódkę, a gdy nas poczęstował i przyjął pod budą, odprowadził nas potém do bryczki, która na drodze stała i wysypał nam pod nogi ćwierć najpiękniejszęch gruszek i jabłek jakie w tym sadzie dojrzały i dał nam całą miarkę najwyborniejszego czyru, który na jedną iskrę z krzesiwa ogień chwytał. Uśmiechnął się Gacek i rzekł do mnie:

„A teraz kiedy mamy piękne gruszki i jabłka, to pojedziemy w „Krasnopuszczę“ do pieknych panien.“

Czekam co to za nowa znajomość będzie, jedziemy więcéj mili lasem po korzeniach i najgorszéj drodze. Stare buki sklepią się przepysznie...

Układamy obydwa w myśli, niemówiąc nic o tem sobie nawzajem jakąś piosnkę do uroczych mroków czarnych lasów, które gdzieniegdzie tylko promień słońca przebijał. Jak gdyby kto złote szelążki rozrzucił po ziemi tak świeciły te złote oczka słoneczne, po mchowem runie leśnem.

A w tém zrzedły lasy i na krańcu wielkiéj polany zaświeciła nam biała leśniczówka z pod sklepienia buków.

Zajeżdżamy w dziedziniec i przed ganek trzy panny wybiegły jak sarny na nasze spotkanie. Co tam było radości i serdeczności w tém powitaniu, co wdzięczności za miłą pamięć — za tak piękne jabłka i gruszki!

Ojciec był jeszcze w lesie, bo musiał z obowiązku swego prowadzić z urzędnikami obławy na Polaków. Otóż tylko w takim domu było wówczas bezpieczne schronienie.

Leśniczy który obławę prowadził ostrzeżony listem przez Seweryna, wiedział od któréj strony mógł przybyć i wyciągnął tak łańcuch téj obławy, abyśmy Krasnopuszczą wolny przejazd mieli do niego — a kiedy późno do domu powrócił, dziękował za zaufanie i cieszył się z tego żeśmy bezpiecznymi w jego domu się znaleźli.

Trzy dni przebyliśmy w téj leśnéj ustroni i matka z córkami starała się uprzyjemnić nasz pobyt, kiedy leśniczy dojeżdżał codziennie do najbliższych gościńców, aby śledzić ruchy wojska i obławy.

Panienki te lubiły poezyę, musieliśmy tedy im zostawić kilka piosnek i wierszyków, do których przy małym klawikordzie do razu dorabiały nuty.

Poczciwa matka kazała nam wyprać bieliznę — z obławy jeszcze przyniesiono za leśniczym sarnę i zajęcy parę, a drób i gołąbki były na miejscu.

Dogadzano nam jak gdybyśmy po długiéj niebytności zajechali do rodzicielskiego domu i z prawdziwym żalem trzeba było się rozstać z tą poczciwą rodziną, którą Bóg w leśnem ukryciu chował.

Podaję tu tych kilka szczegółów, bo one dadzą najwłaściwsze wyobrażenie, o ówczesnych stosunkach kraju — i życiu poety, którego podejrzywałem, że się lubował w niepewności i szukał niebezpieczeństwa, jak gdyby z nich chciał brać miarę siły swojego charakteru i odwagi. Jeżeli tak nie było, to przynajmniéj pewną jest rzeczą że każdemu niebezpieczeństwu umiał stawić czoło.

(C. d. n.)

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Z początkiem roku zachmurzył się rzymski widnokrąg. Krew popłynęła w różnych stronach Włoch, a nawet w państwie papiezkiem. Na górach Sabińskich, tuż u bram Rzymu, świeciły nocą rozpalone ogniska. Lud w mieście nadzwyczaj poruszony, oczekiwał tylko na hasło z zamku świętego Anioła; głoszono bowiem, że za uderzeniem dzwonu, malkontenci otrzymają broń i wystąpią do walki. Transteweranie ze swéj strony, gorliwi obrońcy papieża gotowali się do odporu. Widzieli oni w cudzoziemcach główną przyczynę nieporządku: grozili im wyrznięciem. Sam Zygmunt o mało nie padł ofiarą ich drażliwości. Raz przechodząc ulicą przyglądał się pięknéj transtewerance, stojącéj na balkonie. Spostrzega to mąż, zastępuje mu drogę ze sztyletem.

„Przejdź prędko!“ woła, „albo nigdy więcéj przechodzić już nie będziesz.“

Wzburzenie rosło z każdym dniem. Zakaz karnawałowych zabaw, tém bardziéj rozjątrzył umysły. Dnia jednego kilka głosów zawołało na placu: Viva la republica; przyszło nawet do strzałów.

Popłoch tak był wielki i obawa tak słuszna, że nikt z cudzoziemców nie wychodził z domu bez broni. To też i w domu hrabiego przy ulicy Mercede życie prowadzono niemal obozowe. Goście przychodząc na wieczór, zakładali cały stół krucicami, oczekując tylko na hasło św. Anioła. Aigner oprócz krucicy przynosił szkatułę ze złotem.

Ten burzliwy duch czasu, wpłynął silnie i na umysł hrabiego. Przychodziły mu zapewne do głowy rozmaite kombinacye; zdawało się jakoby myśl połączenia córki z wielkim poetą, mniéj była mu wstrętną niż dotąd. Matka chciała kilkakrotnie pomówić z mężem w tym przedmiocie: Ewunia błagała aby zbytnim pośpiechem nie popsuć rzeczy.

Tak przynajmniéj — myślała w duszy — widuję go codzień, wolno mi zamienić z nim słów kilka. Niechże się ojciec pogniewa, niechże nas ztąd wywiezie, a wszystko na zawsze się skończy!

Nie przyszło do wyznania. Wszystko i tak skończyło się na zawsze!

Adam wyjechał z Rzymu 20 Kwietnia. W wigilią wyjazdu spędził wieczór w domu hrabiego. Przyniósł wielki tom Bayrona, dał go Ewuni na pamiątkę. Ten Bayron był przedmiotem ostatniéj ich rozmowy.

„Niechże on mi wywróży przyszłość“, rzekł Adam, „zobaczymy co powie!“

Otworzył książkę, — oczy jego spoczęły na słowach:

I utracisz je obie!

Słowa to z dramatu Sardanapal.

Adam umilkł: Ewunia zadrżała jak listek.

Przeczucie mówiło, że to ostatni wieczór jaki mają przepędzić z sobą.

Odchodząc Adam uścisnął jéj rękę i wyrzekł stłumionym głosem:

„Niech cię Bóg błogosławi!“

Ewunia uciekła do pokoiku swego, aby ukryć łzy przed wzrokiem cudzym. Otworzyła Bayrona. Mnóstwo było ustępów naznaczonych ołówkiem; najmocniéj z nich odznaczony wiersz Bądź zdrowa.

Oto wiersz ten naśladowany z oryginału:

Jeśli ku niebu w rozstania godzinie
Leci modlitwa za drugich zasłana,
Ach! moja pewno w powietrzu nie zginie;
Lecz imię twoje zaniesie do Pana.

Po co mi płakać, i wzdychać mi po co?
Nad łzy, nad skargi, ja krwawsze znam słowa,
Szaloną bólu wydobyte mocą,
Z tajników duszy: bądź zdrowa! bądź zdrowa!

Me usta nieme i suche me oko,
Lecz boleść w mózgu ład myśli roztrąca,
Zgryzota w serce utkwiła głęboko,
I sen mi z powiek zgania myśl trująca.
Choć żal mną miota i rozpacz wre we mnie,
Z ust próżnéj skargi nie wybiegną słowa,
Ach to wiem tylko, żem kochał daremnie,
I tylko szepczę: bądź zdrowa! bądź zdrowa!

Nazajutrz z rana Adam odjechał: odtąd Ewunia nigdy go już widzieć nie miała.

Tak się zakończył dwuletni okres w życiu wielkiego poety naszego: okres ten nie przeszedł nadaremno. Adam zaczerpnął w nim pobudkę do dwóch najznakomitszych poematów, w których występuje urocza postać Ewy, otoczona anielską aureolą.

A Ewunia, biedna Ewunia!... i cóż jéj pozostało z tych dwóch lat niewypowiedzianego czaru? Odpowiedzmy słowami Pola:

To co zostaje nam po wieszczém słowie,
Po łzach, po rosie, po pieśni w Dąbrowie.

Nie miejsce tu ani pora kreślić życiorys téj, którą ośmieliliśmy się przezwać Ewunią, jak Adam nazywał ją w sercu swojém; dotkniemy tylko w przelocie kilku chwil, spojonych ściśléj z przeszłością złotém ogniwém wspomnienia.

Zimę następną przepędziła znów w Rzymie z rodzicami. Zebrania przy ulicy Mercede liczniejsze bywały niżeli w roku zeszłym. Ożywiał je Henryk Rzewuski; Zygmunt K. oświecał je wschodzącą zorzą geniuszu swego. Brakowało Adama, brakowało go wszystkim, a cóż dopiero powiedzieć o Ewuni.

Adam spędził jesień w księstwie Poznańskiem, zimą przebywał w Dreznie. I czemuż nie przybył do Rzymu? Domyślamy się nie bez powodu, że Henryk Rzewuski, z którym był w ciągłéj korespondencyi, musiał zbadać hrabiego, musiał przekonać się, że nie przełamie żadną siłą woli dumnego magnata. Zachwiany nieco w roku zeszłym, lecz wytrzeźwiony z chwilowego tumanu, hrabia nie chciał słyszeć o związkach tak niestosownych według niego. Nie przyjeżdżał więc Adam, szanując spokojność Ewuni.

W ciągu téj zimy 1832 roku, przebywali w Rzymie trzéj znakomici Francuzi: ksiądz Lacordaire, ks. Lamenais i hrabia Montalembert. Często bardzo odwiedzali oni gościnny dom polski. Tu młody podówczas Montalembert poznał księżniczkę Jadwigę Lubomirską. Silne uczucie połączyło ich serca. Księżna matka nie miała nic przeciwko temu; Montalembert lubo wówczas jeszcze nie bogaty, był już parem Francyi, świetna przyszłość otwierała się przed nim. Napisała więc księżna do męża przebywającego w dobrach swoich Przeworsku. Książę przybył natychmiast, ale głuchym był na wszelkie przedstawienia i prośby.

„Co? ja miałbym wydać córkę za jakiegoś dziennikarza? feuilletonistę?“ odpowiadał z gniewem, ilekroć była mowa o związkach, tak ubliżających jego dumie!

Księżniczka Jadwiga o mało nie przypłaciła życiem. Rodzice wywieźli ją z Rzymu; Montalembert pospieszył za nimi do Pragi. W krótce jednak, widząc bezskuteczność zabiegów, z rozdartém sercem, powrócił do Rzymu. Hrabina S. była powiernicą jego boleści. Odtąd pisywał do niéj stale; pozostało w rodzinie kilkadziesiąt listów znakomitego pisarza, z których możnaby zebrać tomik. Czytaliśmy z nich kilka, wszystkie nacechowane myślą wyższą i głębokiem uczuciem.

Ewunia podzielała całą duszą cierpienia księżniczki Jadwigi, bolała szczególniéj nad jéj losem, kiedy biedna ulegając woli ojca zmuszoną była oddać rękę księciu de Ligne

(Dokończ. nast.)

PUŁAWY.

(Z ryciną.)

Puławy obecnie zwane Nową Aleksandryą, wieś rządowa, w gubernii i powiecie lubelskim nad Wisłą, od Lublina mil siedm odległa. Niegdyś własność Tenczyńskich, przeszła z czasem na dziedzictwo Lubomirskich, od których w posagu dostała się Adamowi Sieniawskiemu, hetmanowi w. kor. Mały zamek tutejszy na szczycie góry, kazał spalić w r. 1702 Karól XII król szwedzki. Opustoszone więc zostały Puławy, aż dopiero kiedy przeszły po żonie w ręce Augusta księcia Czartoryskiego, wojewody ruskiego, nową postać przybierać zaczęły. Spalony zameczek wkrótce na obszerny w guście francuzkim pałac przerobiono; sama zaś wojewodzina zachwycona ślicznem i wspaniałem położeniem miejsca, zaczęła je w r. 1731 przyozdabiać pięknym i rozległym ogrodem w ulice i szpalery porżniętym, sadami drzew owocowych i porządnemi budowlami pałac otaczającemi. Kiedy książę Adam Czartoryski objął Puławy, żona jego zaczęła szczególniéj upiększać Puławy i ozdabiać rozmaitemi budowlami i zabytkami. Wtedy jeszcze wytworniéj urządzony był ogród i stanął tak zwany domek gotycki, świątynia Sybilli, przeznaczony na pomieszczenie rozmaitych starożytności, którego ściany wyłożone są zewnątrz ułamkami rozmaitych gmachów i pomników, pomiędzy któremi wiele się ojczystych znajduje.

Kiedy Puławy przeszły na własność księcia Adama, ministra cesarza Aleksandra a późniejszego Naczelnika Rządu Narodowego, miejsce to stało się ogniskiem sztuki, literatury i punktem zbioru talentów rodzinnych. Rząd moskiewski po r. 1831. skonfiskował Puławy i większą część zbiorów cennych, bibliotekę przeniósł do Petersburga. Odtąd miejsce to nazwane jest mianem Nowéj Aleksandryi. W pałacu zaś od r. 1846. do 1862. mieścił się instytut Aleksandryjski wychowania panien, po przeniesieniu którego do

Warszawy, Puławy przeznaczone zostały na pomieszczenie instytutu politechniczego i rólniczo-leśniczego. Pierwszy atoli w r. 1865. oddzielony, otwarty został w mieście Łodzi. Opis Puław w dawnym stanie podają Rozmaitości dla dzieci Tańskiéj, Kalendarzyk polityczny na r. 1830. Sybillę opiewał Woronicz. Istnieje nadto dzieło p. t.: Poczet pamiątek zachowanych w domku gotyckim i poemat po niemiecku w 26 pieśniach p. t. Erinnerung an Puławy. Lipsk 1829 r.

LISTY Z USTRONIA.

V.

Spóźniam się na ten raz z korespondencyą nie z mojéj winy jak wiecie, najregularniejsza z poczt, poczta niemiecka, poczta pruska, poczta cesarstwa nowego... dała mojemu listowi zaginąć... okradła mnie z kilku godzin pracy... i — niemogę jéj tego darować! Niema na świecie nieznośniejszego nic nad powtórzenie z pamięci raz drugi tego co już raz się z niéj zrzuciło na papier. Na to potrzeba szczęśliwego daru Dra Stan. Tarnowskiego, profesora, (właściciela Przeglądu i Czasu z przyległościami) który napisawszy rzecz, razem się jéj na pamięć ipso facto wyucza i prawie jak pacierz. Gdybym miał pamięć taką! niestety — powiadam wam, że zmuszony pisać listów wiele, ani dziś mogę sobie przypomnieć nawet co w zaginionym było. Proszę jednak czytelników, ażeby raczyli sobie wyobrażać, iż tam były rzeczy nadzwyczaj, niezmiernie — niesłychanie, niewypowiedzianie zajmujące, a że ich tu nie będzie, to wina poznańskiego brieftregera, który nie szanuje więcéj korespondencyi literackiéj nad pospolitą o powszednich katarach, zimnie i t. p. Tak, o zimnie, bo jest dnia 22 Maja, a ja w piecu palę, i sądzę iż wiele osób popełnia toż samo. Jakże dnia 22 Maja paląc w piecu, można co z sensem napisać? Anglicy, si fabula vera, strzelają sobie czasem w głowę znurzeni mgłą, nam by się nie widziało zdrożném, gdyby kto z zimna to uczynił. Zimno — to śmierć — tym czasem - o czémże chciałem mówić? (stare przysłowie). Mówmy o téj biednéj literaturze naszéj! Niezaprzeczy nikt, że jest to cechą narodów, które mają przyszłość przed sobą, że szanują przeszłość swoją, szczególniéj zabytki jéj piśmienne. Tam gdzie ginie pamięć i cena przeszłości, gdzie rwą się węzły co łączą dziadowski trud z prac, wnuków, spodziewać się można, że jak w Egypcie, trzecie pokolenie gmachy praojców, pasąc na ich gruzach trzodę, nazywać będzie dziełem — duchów, niepoczuwając się nawet do pokrewieństwa z przodkami. Zaczyna się to od obojętności, od lekceważenia, od szyderstwą, przychodzi nieuctwo, wyśmiewa się potém staranie naukę rzeczy niepraktycznych, i wnuczę wyrasta na takiego solitera, który z tém co go poprzedziło, nie ma żadnego związku, a na to co będzie, nie może mieć wpływu żadnego... Jest to ogniwo skruszonego łańcucha. Niech nas Bóg uchowa od podobnych — egzemplarzy — ale — mrówię czasem przechodzi patrząc na młode pokolenie, które z domowych rzeczy zna pono najlepiéj pieniądze, które bierze z domu. Wychowanie młodzieży ostróżne, chroniąc je od zagorzałego patryotyzmu, pozbawiło wszelkiéj nawet ciekawości i zajęcia przeszłością. Jednych moskiewska szkoła wynarodowiła, drugich popsuł uniwersytet niemiecki, panny wychowały się na pensyi zagranicznéj — w domu rodziców nie wiele było polskiego i śliczne dorastające różyczki i bławatki nasze mało co więcéj wiedzą o Polsce, jak o odległych Faraonach... Straszne to... A jednak były sposoby przypominania przeszłości, — gdyby do mnogich stowarzyszeń rozmyślających nad gnojem i uprawą kartofli przybyło parę, mających na celu zażywianie polskości i uprawę ducha. Gdyby towarzystwo interesów moralnych zająć się tém chciało? ale ono ma zbyt wiele do czynienia i musi szczepić nowe płonki — niema czasu krzesać zdziczałych. Ktokolwiek bywał po domach polskich na prowincyach naszych, wie, że na wsi u szlachcica łatwiéj o butelkę starego wina niż o jakąkolwiek książkę. Jeśli jest jedna gazeta, to już bardzo szczęśliwie, często się ona pożycza albo czyta na probostwie. Znając ten stan rzeczy jeden zacny osiemdziesięcoletni starzec, zamierzał stworzyć fundusz żelazny na tanie wydawnictwo klasyków polskich... tak tanie, aby się nikt od kupienia wymówić nie mógł. Rzecz była ułożoną, komitet do spełnienia woli staruszka mianowany... tymczasem zjadł biedny coś na wieczerzę i umarł nagle. (Historyczne) Rodzina bardzo naturalnie, woli kapitał niż klasyków i słuchać o tem niechce. Wszak praktycznie? Wola zmarłego była wprawdzie jawną, ale nigdzie prawnie zapisaną nie była — więc niema co mówić o tém. Listy zostały tylko jako pamiątka poczciwéj woli starca — i koniec.

Tym czasem sprawa wydania klasyków starszych i pisarzy nowszych, których naród przyjął i ukochał — zawsze w zawieszeniu. Między innemi których się rozpowszechnienia kraj domaga, jest Kaźmierz Brodziński. Słychać było, iż rodzina jego także zamierzała uczcić pamięć śpiewaka Wiesława — pełném i pięknem wydaniem dzieł jego — i ta wieść pono przebrzmi jakoś bez skutku.. Zbierał materyały do wydania zupełniejszego P. F. S. Dmóchowski w Warszawie, stary robotnik który spocząć niemoże, czy nieumie — bo praca nałogiem. Począł on zbierać pisma niewydane Brodzińskiego, ostatnią edycyą Glücksbergowską nie objęte, i znalazło się tego dosyć. Znalazł się przedewszystkiem najciekawszy, ręką Bródzińskiego nakreślony spis wszystkich jego prac od r 1825 do 1834, a zatém na rok przed zgonem, kiedy już, jak się zdaje, mało mógł w Dreźnie pracować. Przekonać się można z niego, że wiele cennych pamiątek po Kaźmierzu z królówki zaginęło i dotąd ich wyszukać nie było można. Tak nieznane są dotąd, z r. 1832, życie generała Sowińskiego. Dwie rewolucye. (?) Rozprawa o stanie literatury polskiéj od r. 1795 do 1825, która była złożona Towarzystwu Przyjaciół Nauk, i wiele innych dawniejszych. Pierwszemi Brodzińskiego próbami były po większéj części tłomaczenia sztuk dramatycznych, jak gdyby ku scenie i poezyi dramatycznéj czuł pociąg szczególny. Szkodliwe zwierzenie się, Nicolo, przekładał w r. 1815, potém komedyą — Lord zamyślony, potém Miltona, tekst opery Spontiniego. Były nawet dwa akty Estery Rasyna. Od r. 1820 najwięcéj już jest rozpraw o różnych literatury przedmiotach. Wiadomość nowszą o życiu i pismach Brodzińskiego, podał Dmóchowski, jeśli się nie mylemy, w bibliotece warszawskiéj. Należy od rodziny ten hołd pamięci Brodzińskiego, aby całkowity zbiór pism jego starannie i pięknie wydała. Zwlekać z tém zbyt długo się nie godzi, bo póżniéj rzecz będzie do wykonania trudniejszą.

Zbiory pism innych znanych współczesnych autorów zapowiadają się w mniéj więcéj popularnych i tanich wydaniach. S. Loewenthal drukuje tak wszystkie pisma Korzeniowskiego, których już wyszedł tom pierwszy. A że, jak się zdaje prenumeratorowie Kłosów i Tygodnika, w dość znacznéj liczbie korzystają z dogodnych warunków nabycia — będzie mógł p. Loewenthal bez straty dla siebie, wydać i rozpowszechnić w tomach dziesięciu, to co w kilkudziesięciu cztéry lub pięć razy tyle kosztowało. Zapowiadają też bardzo pożądany zbiór całkowity pism hr. Aleksandra Fredry, o który naprożno dotąd się upominano. Wiadomo że w tece znakomitego naszego poety jest jeszcze kilkadziesiąt sztuk nieznanych, które on, zrażony krytyką zamknął i niedał się nigdy uprosić aby to postanowienie przełamał. Panowie Gebethner i Wolff wydadzą tylko to co naprzód we Lwowie wyszło i wyczerpaném zostało, a potém powtórzone w wydaniu bez zezwolenia autora dokonaném, niepoprawném i obciętém. Wydanie ma być staranne i tanie. Jeśli się nie mylemy cztéry czy pięć tomów. Naostatek sędziwy autor Mohorta Wincenty Pol, myśli także zebrać sam zupełne dzieła swoje, poezye, rozprawy naukowe, rzecz o jeografii Polski i t. p. Przygotować to wydanie dla autora, przy jego nie-

szczęśliwém ociemnieniu, nie będzie łatwém, a że pisma są rozproszone, liczne, wydawane w różnych miejscach, bodaj żeby nie potrzebował radzić się p. Estreicher'a. Dzienniki, pamiętniki towarzystw, noworoczniki, albumy mieszczą tę spuściznę poety rozwianą po świecie, którą koniecznie czas zgromadzić, nie zdając tego na ręce obce. Wydanie rozdzielić się też będzie musiało, ze względów cenzuralnych na dwoje, bo nie wszystko ma paszport za kordon. I — wierzcie lub nie — to co za kordon nie pójdzie, tego nie można drukować tak wiele, bo w Poznańskiem czyta się po francuzku znowu z polecenia konsystorza, dla uniknienia zarazy jaka tkwi w literaturze polskiéj, a w Galicyi czyta się po niemiecku lub — nie czyta. Zresztą tu i tam umysły tak zajęte walką religijną, wyborową, — praktycznemi i niepraktycznemi różnemi przedmiotami, że — literatura musi u drzwi zostać — panowie nie przyjmują, zajęci — jeden z agronomem, drugi ze spowiednikiem.

Po troszę więc przedrukowujemy, ale za mało, za mało... należałoby się posunąć głębiéj, przedrukowywać porządnie rzeczy dobre a zapomniane z XVI — z XVII — nawet z końca XVIII w.; tylko nie dorywczo i z naukowém przygotowaniem ku temu. Mieliśmy przedruków, klasyków, bibliotek, zbiorów dosyć dużo, a dobrego nie mamy nic dotąd. Czémże tradycye porwane zwiążemy? Z XVI, z XVII, z XVIII w. wiele pism dziś by się odczytać i dla języka przydało i dla ducha. Zaszkodziłożby to gdyby kto Anatomię Garczyńskiego, o któréj tak piękną wiadomość podał w Roczniku nowym Przyjaciół Nauk p. L. Wegner — wydał na nowo? A listy litewskie Niemcewicza, a teatr Krasickiego, a Trębecki? który mimo tylu wydań, już jest rzadki; że o innych a mnogich nie wspomnę. Turowskiego biblioteka rozpełzła się niekompletna, wydawana bez ładu, i znaku po niéj nie zostało... Zbywa nam na tém, zbywa też na dobrych przekładach dzieł obcych klasycznych. Shakespeara począł Kefaliński, począł Komierowski, począł Koźmian, przekładał Paszkowski, a całego niemamy dotąd. Czyżby się na zbiorowego przynajmniéj zebrać już nie można junctis viribus, gdyby u nas cokolwiek kiedy połączyć się dało... Niestety! w téj chwili, wszyscy jak najpilniéj starają się nas porozpraszać, powydzielać, rozedrzeć.

Mówmy o czém inném. Na czele rzeczy nowych stawię Encyklopedyą krajoznawstwa Galicyi A. Schneider'a. Niewiem z pewnością czym o niéj w przeszłym liście nie wspomniał, ale gdyby i tak było, nie wahałbym się powtórzyć zalecając tego cennego materyału do krajoznawstwa dawnéj Polski. Ramy obszerne, zbieranina żmudna, praca olbrzymia. Tom pierwszy zawiera — literę A!! Dotąd żadna z prowincyi Polski niema takiéj encyklopedyi, a choćby w niéj nieuchronnych opuszczeń i myłek się cóś znalazło — czyż ich niema w każdém dziele podobném? Skarbiec to szacowny — nie tylko dla Galicyi — ale dla przeszłości Polski... A gdy mowa o nadpełtwiańskim kraju... powiedźmyż iż — bądź co bądź, coś tam się rusza, coś tam żyje, coś pracuje. Nie idzie to łacno, ale dobrze że choć tak coś się robi. — Zaledwie Dziennik literacki umarł od ukąszenia Mrówki, na jego miejsce zwiastuje się Wola, i tylko co nie widać, Gazety literackiéj. Tylko to bieda że przy najlepszych chęciach Galicya nie doszła do tego bardzo prostego, elementanego pojęcia, iż wszelkie wydawnictwo składa się nietylko z ducha ale i z ciała, że więc każdemu potrzebny jest taki opasły Unger lub Loewenthal, lub jakikolwiek człowiek z krédką i kieszenią. Wydawnictwa poczynają się jak gra w loteryę... a nuż... prenumeratorowie! Żadne wydawnictwo w świecie jałmużną żyć nie może, kredytem nie żyje długo, a nie mogąc opłacić pracy, a przetrwać nowicyatu, ginie najczęściéj u brzegu. Tymczasem co poczyna u nas wychodzić, zawsze niemal tak, jak po staroświecku gospodarowano. Byle folwark... bez kapitału, bez koni, uprzęży, bez wszystkiego się obchodziło... A nuż urodzi? a nuż cena w Gdańsku? My tak teraz wydajemy dzienniki, i regularnie wszystkie tak wydawane muszą konać — krótko pożywszy. Ale któż się kiedy nauczył cudzém doświadczeniem? — Chociaż Sobótka wychodzi w Poznaniu, mogę jéj donieść o wyjściu tomu szóstego Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk, który pełen jest zajmujących artykułów. Szczególniéj dział historyczny piękny, prace P. L. Wegnera, K. Jarochowskiego, Kętrzyńskiego, Dr. Libelta czytają się z wielkiem zajęciem. Co za wyborna monografia Garczyńskiego, autora Anatomii Rzeczypospolitéj, jaki to cenny materyał do historyi obyczajów... Samo życie tego człowieka ma tu szczegóły dotąd nieznane. Równie pociągający epizod z kościuszkowskiéj wojny — ostatni akt tragedyi dziejowéj, poważnie i z wielkim spokojem ducha opisany... o który dotykając tych lat okrutnéj pamięci — tak trudno. P. Kaźm. Jarochowski odkrywa nam ze źródeł archiwalnych nową stronę tragedyi Toruńskiéj. Zrazu machiawelstwo téj polityki jest tak odstręczające, tak oburzające, iż się w tyle przewrotności wierzyć nie chce — lecz dowody są przekonywające. Spiskowano na Polskę... a jéj właśni panujący byli w spisku... Rozebranie, rozszarpanie od Jana Kaźmierza, który je przepowiadał, groziło ciągle, wisiało jak miecz Demoklesa. August II chciał korzystać z tego co się zapowiadało, chciał katastrofę przyspieszyć... Cały ten tom Rocznika bardzo szczęśliwie złożony. Wiadomość o Stan. Górskim i Tomicyanach Dr. Kętrzyńskiego, wypracowana z dokładnością niemiecką, ale przyznaję się — przeraziła mnie... Kiedyż my się doczekamy wydania takiemi najeżonego trudnościami! Tom dziewiąty zniszczony!! I ta apostrofa do hr. Działyńskiego ażeby matematykę wydawać zaniechał, a do historyi ojcowskiéj powrócił... straszy doprawdy? Czas tak drogi! jutro tak niepewne, Tomicyany tak ogromne... Polska tak się dopomina purpury swojéj przeszłości na łachman dzisiejszy — panie hrabio — kończ Tomicyany! naród ci wdzięczen będzie za nie...

B. Bolesławita.

Szarada.

Pierwsza druga motor wyborowy,
Pierwsze czwarte służą do budowy,
Trzecie czwarte są dość liczne w chemii,
Często bardzo chodzimy z wszystkiemi.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 22: ***Mezopotamczykowie.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu I. J. Kraszewskiemu w Dreźnie: W ostatnim numerze „Tygodnia“ wyczytaliśmy powątpiewanie o prawdziwości spisanych Wspomnień Ewuni, i drukowanych obecnie w Sobótce. Przedewszystkiem myli się Redakcya „Tygodnia“ twierdząc, że wspmnienia te wyszły z pod pióra A. E. Odyńca. Autor nazwiska swego niedał i my go więc publikować nie możemy. Że zaś wspomnienia te mają prawdę za sobą, to przekonywają nas potwierdzenia osób we wspomnieniach wymienionych, jak A. E. Odyniec i innych. Listy prostujące drobne szczegóły w dalszym ciągu zamieścimy. — Pani Kalinie w Maju: Na zimny Maj, wiersze za gorące. — Panu Gordonowi we Lwowie: Dotąd obiecanéj przesyłki nieotrzymaliśmy. Jeżeli nie wysłana, przypominamy się o nią. — Panu R. F. w Poznaniu: Sobótka wychodzi regularnie — co Sobota jest do odebrania w księgarni.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)